

Skrytka – czyli o tym, jak Xiądz wychodzi z szafy

Na przełomie lat 80. i 90. mieszkałem z Mamą i Dziadkami w kamienicy Trzebuchowskich przy ulicy Śródmiejskiej 33, obok Domu Kowalskiego – luksusowego wysokościorca, zaopatrzonego w elektryczną windę z 1935 roku i taras rekreacyjny. W naszym domu przez dziesiątki lat działało kino „Stylowe” i firmowy sklep „Zakładu 22 Lipca”, na który wszyscy i tak mówili Wedel. Przed wojną w piwnicach był podobno – to ciekawostka – tor wrotkarski, o którym wspominał mi Dziadek. Zajmowaliśmy narożne mieszkanie na trzecim piętrze, z widokiem na główną arterię Kalisza – ciąg ulic Śródmiejskiej i Górnośląskiej. W oknie tym przesiadywałem z wszelkich okazji, np. pochodów pierwszomajowych, czy pielgrzymek do Częstochowy, które przecinały co rok, w sierpniu, zawsze wczesnym rankiem, nasze miasto i tu miały przystanek na śniadanie i mszę. Do atrakcji peerelowskiego dzieciństwa należały obowiązkowe, również o świcie, dyngusowe bitwy młodzieży osiedlowej Kalińca z reprezentacją Śródmieścia, a z braku laku i korki uliczne, o których informować mnie miał obowiązek niezwłocznie każdy domownik.

Okno to było świetnym punktem obserwacyjnym, strzelnicą, świątynią dumania. Jedynie szeroki gzyms pokryty dachówką utrudniał celowanie, gdy laliśmy wodą z garnków na wspomnianych gości z Kalińca. Wtedy przydatny był sąsiad z kamienicy Stankiewiczów na rogu Pułaskiego i Śródmiejskiej, który dawał nam znak, kiedy jego zdaniem ładunek dolecieć mógł na głowę a nie na chodnik. Zresztą dźwięk wody chlustającej z trzeciego piętra na trotuar był niezapomniany, bardziej lubiłem tylko budzący mnie śpiew pielgrzymek ukazujących się na Rogatce i skręcających w moją ulicę specjalnie po to, bym miał co wspominać.

Nasze mieszkanie nie było tuzinkowe w rozkładzie – resztki amfilady, zamurowane przejścia do sąsiadów, wspólny korytarz, kilka przedpokojów, służbówka przy wejściu z klatki – ślady przedwojennej świetności kaliskiego mieszczaństwa, starannie zacierane bezrozumnym kwaterunkiem. Trzy mieszkania przed wojną składały się na jeden wielki – dziś powiedzielibyśmy - apartament, po którym można było jeździć nie tylko na wrotkach, ale i na rowerze. W czasie okupacji Niemcy zlikwidowali służbową klatkę schodową z wejściem od podwórza. Przedzielili ją podestami pięter, tworząc dodatkowe pomieszczenia i uduchowiając niewyobrażalnie późniejsze „stosunki lokalowe”. Moi Dziadkowie wystarali się w 1945 r. o przydział mieszkania na ostatniej kondygnacji. Przypadła nam najwyżej położona część dawnej klatki, która przez następne pół wieku służyła jako skrytka. Powinienem chyba zapisać tę par excellence nazwę własną z wielkiej litery, jako że Skrytka nie była po prostu pomieszczeniem, była INSTYTUCJĄ. Wielozadaniowym kombinatem obsługującym kilka rodzin, trzy pokolenia i dwa piętra.

Niemcom zabrakło bowiem konsekwencji w przeróbkach i zostawili nam dziwny twór: coś jakby duży pokój, bardzo długi i wąski, wysokości około sześciu metrów. Do pakamery nad stropem przedpokoju, oddzielonej prowizorycznym murem od reszty strychu, dostać się można było

wyłącznie po drabinie. Okno pamiętające chyba jeszcze czasy I wojny światowej, otwierało się i zamykało drewnianym drągkiem, tłukąc na oślep w ramę, sypiąc kurz na głowę, zrzucając pajęczyny – w przeciwnym razie temperatura wewnątrz nie odbiegałaby od tej na dworze. Czego w tej skrytce nie było! Środki transportu (rowery, hulajnogi, łyżwy, sanki, narty, wrotki), w metalowych wiadrach węgiel do palenia w kaflowych piecach i pod kuchenną fajerką, zapasy szarego mydła marki „Jeleń” i, typowy dla gospodarstw domowych doby niedoborów, skład chemikaliów. Teraz uznano by je na pewno za zagrożenie całej dzielnicy.

Tu krótka dygresja. Kto z pokoleń niepamiętających już PRL, uwierzy, że skrytkowy stan cukru poniżej dziesięciu kilogramów moja Babcia uznawała w latach 80. za niebezpieczny dla ciągłości rodzinnej gospodarki! Musieliśmy wtedy w podwyższonej gotowości peregrynować po całym mieście. Szukaliśmy symptomatycznych zagęszczeń, niepokojów kolejkowych, przegrupowań między sklepami. Raz, pamiętam, przypadkiem trafiliśmy koło Rogatki na cukier tak po prostu stojący na półkach! W sklepie pusto. Niedopatrzenie? Błąd systemowy? Oceniliśmy sytuację – nasz, jakby to powiedzieć, potencjał udźwigu był nikły – nieśliśmy już inne zdobycze – łupy zaopatrzeniowców. Ja miałem dosłownie parę lat, Babcia, co prawda gospodarna i z błyskiem w oku, ale wtedy już mocno niemłoda... Za to niepozbawiona fantazji. Poprosiliśmy o dwa kilogramy do babcinej torebki, „żeby nie robić sensacji na ulicy” i jakby nigdy nic, z kamiennymi twarzami popędziliśmy do domu zrzucić ładunki i wrócić po kolejną partię. W przeciwnym razie, gdybyśmy pojawili się w bramie z siatką opiętą charakterystycznymi tytkami, niechybnie cała kamienica zatrząsnęła się od krzyku pani – nomen omen – Królowej z pierwszego piętra:

- Cukier rzuciiiiiiiiiii!!!

Nie tylko nie byłoby już szans na zwiększenie zapasów, ale nie wiadomo, czy obronilibyśmy zdobyc przed innymi rozszalałymi producentkami konfitur i kompotów.

W skrytce stały, oprócz wspomnianych skarbów, całe regały butów, butelek domowego wina porzeczkowego, stare sokowirówki, skrzynia ze szkłem prezentowanym na ślub moim rodzicom... Nie mieściło się w kredensie. Na najwyższych półkach piętrzyły się czekające na sezon namioty, plecaki ze stelażem, kartony z bombkami choinkowymi, no i oczywiście sama choinka. Blżej wejścia była część słoikowa rodzinnej spiżarni – tzw. weki pełne ogórków, śliwek, czereśni, fasoli, smalcu, grzybów w solnej zalewie, wiśni, kapusty, jabłek, co tylko żołądek zapragnie... Dalej można było trafić na całe roczniki „Perspektyw” (ich wyrzucenia nie mogę sobie darować), płócienne worki z suszonymi grzybami, balony na wino, parasol ogrodowy, ach... i tak do odległego końca skrytki, pod oknem, gdzie stała szafa z cukrem, mąką, kaszą, przyprawami, zapasem budyniów i „Śnieżki”. Na wewnętrznej stronie drzwi wisiał przybity w latach 50. jadłospis miesięczny stryjka Kazika. Pomieszkiwali u nas z ciotką Lusią po powrocie z Syberii. Obok tej szafy stała druga, brązowa; już nie tak skromna, kuchenna, lecz masywna, rzeźbiona, z dwiema szufladami zamykanymi na klucz.

Wielka, nieprzesuwalna, mieszcząca karakułowe futra Babci, znoszone i niemodne sukienki Mamy. Dawała poczucie bezpieczeństwa i złudzenie niezmienności. Pozwalała wierzyć, że zawsze będzie istnieć szansa na powrót z każdej wyprawy i życiowej decyzji. Stanowiła osobny świat –

można było do niej wejść i poczytać książkę. Można się było w niej schować. Można ją było powąchać i wreszcie - zwiedzać, zdobywać kolejne poziomy wtajemniczenia. Niezbyt nachalnie, niczym świadoma swej elegancji dama, zachęcała – nawet nie zapraszała, tylko delikatnie kokietowała, bym poznał czas jej młodości, świat, z którego pochodziła i którego strażnikiem się stała.

Zdarzało się, ba, było wręcz prawidłowością, że przyrost kłopotów był o tyle szybszy od tempa zużywania składowanych rzeczy, że dosłownie zarastały przejście. Pod pretekstem odgruzowywania skrytki – pamiętajmy, że cukier znajdował się w najodleglejszym jej zakątku – eksplorowałem kolejne pokłady metodą odkrywkową.

W ten sposób któregoś dnia poznałem kształt kieliszków do szampana, dowiedziałem się, jak wygląda przycisk do papieru... Odstawiłem na bok jakieś smutne pejzaże i martwe natury na blejtramach. Dźwignąłem kryształowe lustro, nieczynne już – jakby zamknęło się w sobie. Zignorowałem chwilowo pojemnik z zabawkami sprzed czterech dekad, w końcu dotarłem do szuflad! Okazały się ważyć prawie tyle, co ich dziewięćdziesięcioletni odkrywca. Klucze tkwiły w zamkach.

Zawartość zaskoczyła nawet mojego Dziadka, który jednak tego dnia miał ważniejsze sprawy. Zerknął, nie zabrał, nie zabronił - mogłem legalnie szperać. Oprócz pękniętego porcelanowego puzderka na biżuterię, naturalnie bez biżuterii, siatki do układania włosów na noc, przedwojennej sukienki i fartuszka mojej Babci, znalazłem ręcznie zszyty zeszyt i brązową broszurę, zbyt cienką, bym nazwał ją wtedy książką.

Zeszyt tworzyły listy moich Dziadków z 1943 roku, pisane niemal codziennie w obie strony. Fema pisała do Boleczka z Kalisza a raczej Kalischa, który w czasie okupacji znalazł się w granicach germanizowanego bez żadnych skrupułów Kraju Warty - Reichsgau Wartheland. Bolek, wysłany na roboty do Rzeszy, słał kartki i listy z Klein Zöllnig, gdzie codziennie od czwartej nad ranem, również w niedziele pracował w gospodarstwie rolnym, czyli, jak się wtedy mówiło, u bauera. Obecnie wieś Solniki Małe leży w województwie dolnośląskim, niedaleko granicy opolskiego, mniej więcej w połowie drogi z Oleśnicy do Namysłowa. Siedemdziesiąt lat temu zastraszoną przez gestapowców przeciętnym Polakom zdawała się być prawdziwym końcem świata. Odwieczną częścią Wielkich Niemiec, które pod wodzą psychopaty przesunęły swoje granice pod Pireneje i Stalingrad.

„Kochana Femuś...”

Pisze, że ma tyle pracy, że nie ma kiedy wypalić papierosa. To może i lepiej, na dłużej wystarczą te zabrane z domu. Prosi o przysłanie paczki z jakąś wyściółką do trepów, bo od drewna robią się pęcherze i rany na palcach. Fema załatwia pozwolenie na odwiedziny, planuje przyjazd. Bolek boi się, by nie wyniosła złego wrażenia z tego pobytu, w końcu znajdują się niedługo, a tak przykre okoliczności mogą nie sprzyjać młodym narzeczonemu...

Zaczytany, zanurzony w pozótkłych listach, nie zauważyłem, że zrobiło się prawie ciemno. Trzeba było wyjść ze skrytki. Listy schować z powrotem, żeby Babci nie przyszło do głowy znaleźć

dla nich jakiejś lepszej kryjówki. Ale co to za broszurka leżała na stosie listów... W dziwnej, jakby miękkiej, nieco pogrubionej, kartonowej okładce. Zerknąłem.

Tytuł brzmiał niepokojąco: „Sonata Belzebuba. Sztuka w 3-ch aktach”. Karminowe, tłoczone lekko litery, u góry zapisany długopisem pochyły znak K. Wnętrze okazało się jeszcze bardziej intrygujące. Cała strona tytułowa skośnie zapisana fioletowym atramentem...

**...Kochanemu Henrykowi Kazimierowiczowi,
Xiędzu Doktorowi nie z tego świata,
a raczej z jednej z moich sztuk niena-**

1. Egzemplarz nr 70 *Sonaty Belzebuba* z dedykacją dla Xiędza.

- Przemuuuś! Kolaaacjaa!

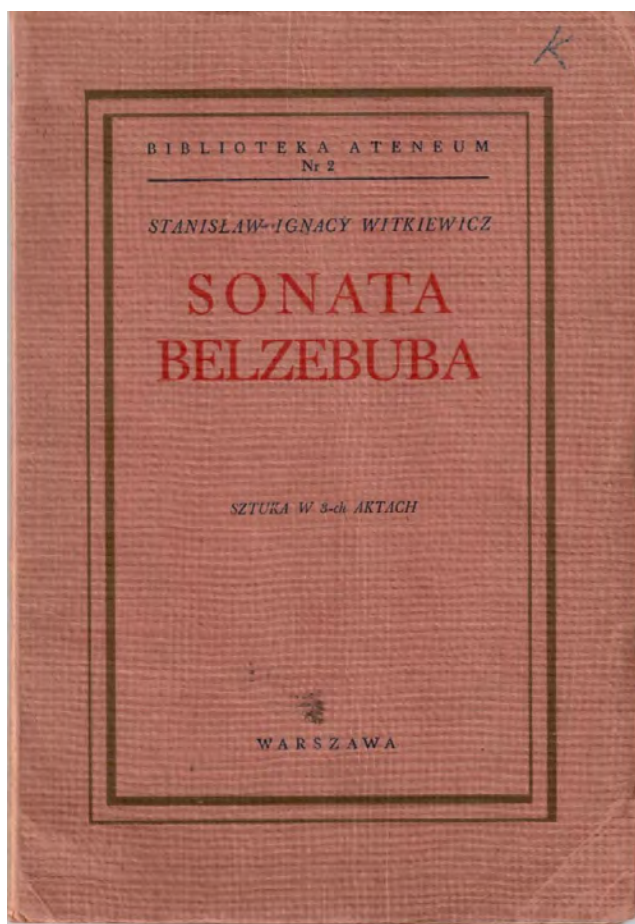
- Usłyszałem w tym momencie Babcie idącą z kuchni przedpokojem w stronę skrytki. Cisnąłem wszystko do szuflady, całym sobą wepchnąłem ją na miejsce w cokole szafy, dostęp zabarykadowałem kryształowym lustrem.

Szesnaście lat później. Smutny pokój w obskurnym galeriowcu na Clapham South, między drugą i trzecią strefą. Dziesięć przystanków czarną linią *Tube* do stacji Moorgate.¹ Tuż po przeprowadzce z Dublinu.

Irlandia wniosła do światowej kuchni przede wszystkim kwaśne pieczywo o cudownym rzekomo aromacie proszku do pieczenia, którego nie mogło stłumić nawet sówite obłożenie konfiturami. Po kilku miesiącach na tej wyspie przeciętny Polak nadal nie rozumiał istoty kanapki z chipsami i octem, i coraz silniej tęsknił do prawdziwej kajzerki. Ponieważ nigdy na szczęście nie byłem wyznawcą przewodniej roli chleba i ziemniaków, nie musiałem obarczać kolejnych fal przyjaciół-imigrantów podatkiem w postaci chrupiących, omączonych bochenków i bułek.

Odebrałem wychowanie dość eklektyczne. Dziadek, pomny bezrobocia i głodu w czasach Wielkiego Kryzysu, pomstował podczas moich obiadowych grymasów:

¹ Poczyna nazwa londyńskiego metra pochodzi oczywiście od tunelu o przekroju rury, choć każdy pasażer pewnie uwierzyłby też w inną etymologię – w godzinach szczytu, gdy już uda się dopchać do peronu, potem skokiem lub podstępem dostać do trzeciego czy czwartego z kolei składu, pochylić głowę, by nie została odcięta półokrągłymi drzwiami, jedyną szansą na zła panie oddechu wydaje się intubacja. Codzienne niedotlenienie w drodze do pracy.



- Oj, żeby Ci tych ziemniaków w życiu nie zabrakło!

Za to Babcia, córka mistrza szewskiego, który zbyt wcześnie owdowiał i zdołał wykształcić tylko najstarszego syna, była do końca głodna, ale wiedzy. Powtarzała:

- Na wszystko ci w życiu może zabraknąć pieniędzy, tylko nie na książki i podróże. Co przeczytasz i zobaczysz, to twoje.

Czyli jak było do przewidzenia na pograniczu dwóch światów – Wielkopolski i Kongresówki – tłoczyli we mnie z jednej strony szacunek do pracy, uczciwego zarobku, oszczędność i praktyczność, z drugiej zaś dbali o rozległość zainteresowań, przygotowywali do wydawania pieniędzy z gestem i życia z iście ułańską fantazją.

A ponieważ na Wyspach po raz pierwszy było mnie wreszcie stać – zamiast chleba, zamówiłem z Polski nowości wydawnicze za kilkaset złotych. Szaleństwo nie polegało na tym, że zamawiałem książki (sporą biblioteczkę uzbierałem już przed wyjazdem z Polski), ale że kupiłem tyle naraz, bez przeceny, rozmyślnie i bez wyrzutów sumienia.

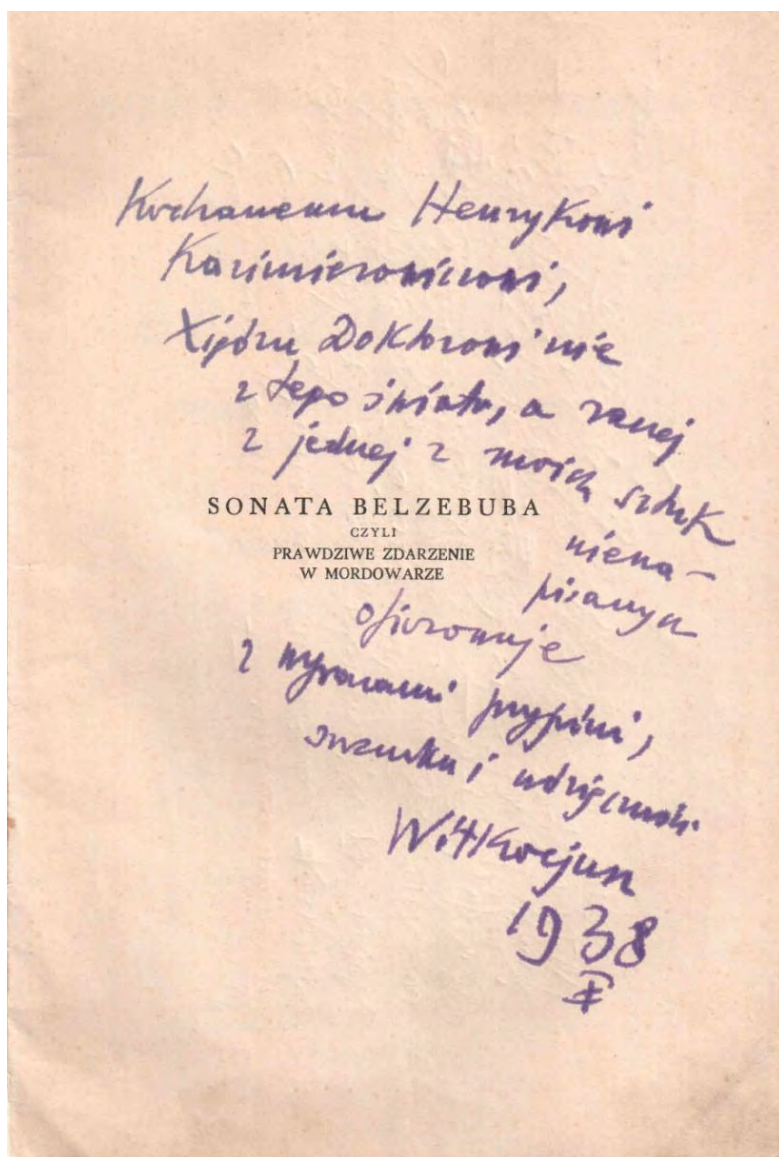
Był wśród nich pierwszy tom Stanisława Ignacego Witkiewicza *Listów do żony (1923-1927)*. Ledwie go zacząłem, już w przypisie do dziewiątego listu, na s. 244 przeczytałem ze zdziwieniem, że francuski przekład *Kurki wodnej*, autorstwa Jadwigi Strzałkowskiej, dedykowany pierwotnie Nelly Marmorkowej, Witkacy poświęcił księdzu Kazimierowicowi.

Momentalnie skojarzyłem nazwisko z wpisem w *Sonacie Belzebuba*, znalezionej kiedyś na Śródmiejskiej. W tym tomie nazwisko Kazimierowicz pojawiło się tylko raz, bez komentarza, bez biogramu.

Wystarczył jednak ten jeden raz, by nieodwracalnie pobudzić moją ciekawość. Czyli to nie przypadkowy autograf? *Xiądz* nie był anonimowy, lecz dobrze znany literaturoznawcom?

Niebawem miałem się przekonać, że wcale nie tak dobrze...

Warszawa, 2012



2. Niepublikowana wcześniej dedykacja, sygnowana: Witkacjusz.